Rok 2 Chojnice, dnia 9 marca 1933. Nr. 20

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIESCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

T·U·Ł·A·C·Z·E

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
PRZEZ. B BOLESŁAWITĘ

TOM I. 10

Milcząc, uchylił nieco kapelusza z poszanowaniem nieznajomy, widać w nim było wzruszenie.

— Kto jestem! — mówił dalej — dziś biednym tylko rozbitkiem, dziś dosyć, że jestem człowiekiem... bez plamy, a z brzemieniem na ramionach Miałożby to w Ameryce nie starczyć?

Amerykanin skłonił głowę.

— A, panie — rzekł — różne są wymagania czasu i okoliczności — nie jątrzcie się jeszcze przeciwko nam przedwcześnie... Wszystko się może dać ułożyć.

Potem, zwracając rozmowę, odezwał się spokojnie:

— Widzieliście więc starego Bena?

— Tak jest, widywałem go często w Passy, mówiliśmy z nim długo o mojej i waszej ojczyźnie. Franklin nie tak gościnną malował mi Amerykę, jak ją znajduję.

— Ale i ja też, przebaczcie, przerwał nieznany mąż maluję wam tylko szczerze, otwarcie położenie nasze. Przyjęcie do wojsk... nie zależy nawet od wodza, sam podlega kongresowi i jest posłusznym; kongres wogóle jest nieufnym i źle usposobionym dla cudzoziemców. Mówił wam pewnie Lafayette, jak jego przyjęto.

— Tak jest, wspomniał mi o tem, rzekł Pułaski, ależ mnie nie idzie o żaden stopień, ani o pieniądze.. dopóki choćby na suchar mnie stanie...

Amerykanin zamilkł i zwolna przysiadł na kłodzie blisko leżącej, podparł się na rękach, patrzał, poważnie zamyślony.

— Darujcie mi, że was trudzę rozmową — dodał po przerwie — dla nas, Amerykanów, pożytecznem wielce jest dowiedzieć się, jak żołnierz europejski widzi nasz kraj i sądzi... nasze wojsko nasz obóz... ludzi.

— Trudno to, odrzekł Pułaski nieco ostygły, zdać sprawę z wrażenia, które się odbiło od powierzchni, głębiej sięgnąć nie mogąc. Gdybym miał szczerze powiedzieć wam co myślę... możeby to niezbyt było dla was pochlebnem i miłem. Wojsko, obozy nie zbudowały mnie. Nawet my, cośmy też w wojsku nowozaciężnem, ochotniczem służyli, ja, com lat kilka podobnemu oddziałowi dowodził — nawykłem do większego porządku, ładu, jednostajności... bodaj nawet ubioru, który wdraża do karności i równości obozowej. To, co widzę, wygląda mi na pospolite ruszenie, na partyzantów, nie na wojsko i pułki szykowane. Ale — rozumiem i to... że mi się nie godzi sądzić o kraju tak nowym, miarą innych go mierząc... Każdy naród ma swe obyczaje, własności, cóż dopiero tu... na drugim świecie! Tu tysiąc zapewne nieznanych mi okoliczności składa się na nadanie wojsku tak niekorzystnego pozoru... Wyglądają żołnierze wasi na żebraków.

— Zgadliście dobrze, uśmiechając się, odpowiedział Amerykanin, często biją się bardzo dobrze, ale przyznaję, że nie zawadziłby nam ład, surowość większa i porządek. Nie zapominajcie, że to jest ochotnik, wojsko co trzy miesiące rekrutowane na nowo — proszone — że to są świeże zaciągi, które każda klęska i niepowodzenie rozprasza... my się musimy uczyć się i bić, i zwyciężać... Nie chce rzeczpospolita mieć regularnego żołnierza, coby się stał żołdakiem .

— Tak właśnie było u nas — rzekł Pułaski — ta obawa nas zgubiła... W kraju do rdzenia republikańskim, gdzie niema się co obawiać ambicyj wodza niema się też co lękać żołnierza... Wojsko regularne wyćwiczone, jest potrzebne.

— I ja także sądzę — odpowiedział Amerykanin, ale to są prymicje swobody, myśmy do niej doszli, a jeszcze nie zdobyli... wszystko nas przeraża... Myślę, że wodzowie pragnęliby inaczej urządzić armję, ale kongres się może obawia, aby z Fabiusa nie wyrósł mu jaki Cezar... jaki Cromwel...

— Z tego, co o przyjacielu Franklina z niego wnosić mogłem, odpowiedział Pułaski, nie sądzę, aby kto mógł Washingtona o samolubne posądzić widoki, jest to mąż prawy.

— Bądźcobądź, przerwał nagle nieznajomy, kongres ma słuszność, on powinien się lękać nawet, gdy niema się czego obawiać, to jego powinność... Stoi na straży, a choćby nieprzyjaciela nie było, warta z placu zejść nie może.

W tem miejscu przerwaną została rozmowa niespodziewanem ukazaniem się Lafayett'a, który od obozu jechał, szukając właśnie Pułaskiego, a zobaczywszy go, szybko się przybliżył.

Nie spostrzegł on zaraz jego towarzysza, zakrytego gałęźmi i krzakami, ale w chwili, gdy nadjeżdżał i zsiadłszy, podawał rękę Pułaskiemu, wychyliła się ku niemu poważna postać nieznajomego.

Na ustach Lafayette'a ukazał się uśmiech wesoły, powitał naprzód Amerykanina, potem tego, za którym gonił.

— Widzę, rzekł, żeście mi oszczędzili formalności zapoznawania, której właśnie miałem dopełnić.

— Któż to taki? zapytał cicho Pułaski.

— Jakto? czyżbyście nie wiedzieli?

— Nic nie wiem, spotkanie było przypadkowe!

— To wódz! to Washington, zawołał Lafayette, a w tej chwili Amerykanin z pełną uprzejmości prostotą i wyrazem przyjacielskim dłoń do Polaka wyciągnął...

— Proszę mi darować, panie generale, odezwał się Pułaski, moją gburowatość, rubaszność, i może zbytnią otwartość; prawdziwie nie wiedziałem, kogo miałem szczęście spotkać.

Wódz potrząsnął ręką.

— Ale tak jest lepiej, rzekł, znajomość nigdy się korzystniej dla mnie zrobić nie mogła. Poznałem was takim, jakim jesteście dla wszystkich... a możebyście innemi nieco byli dla owego Washingtona, który jest niczem więcej, jak chwilowo odpowiedzialnym za wszystko zło, jakie kraj spotyka. Cenię was już wielce z pierwszej rozmowy i cofam, com o Amerykanach powiedział. Takich ludzi, jak wy, potrzebujemy, pragniemy... nie wiem waszego nazwiska...

— Panie generale, przerwał Lafyetty(właśnie wam miałem hrabiego Pułaskiego przedstawić. Pisze za nim do was gorąco Franklin, dodam od siebie, że w Europie imię jego słynne jest.

— Wierzcie mi, odrzekł Washington, będziemy się starali, aby dla was Ameryka nie była niegościnną ziemią... Jutro napiszę do kongresu, i mianuję was...

— Piechotą, czy konnicą dowodzić chcecie? dodał.

— Dowodzić? rzekł Pułaski, ale ja chcę tylko bić się, nie dowodzić.

— Z rozmowy waszej widzę, żeście starym wytrawnym dowódcą, musimy z waszego doświadczenia korzyść. Więc piechota czy konnica?

— Ha! odparł, uśmiechając się pan Kazimierz, to pytanie, które Polakowi tylko w Ameryce zadanem być może. My nie znaliśmy piechoty, prócz najemnej, wzrośliśmy na koniach, jesteśmy od kolebki jeźdźcami... Bóg nas stworzył z nogą w strzemieniu.

— Właśnie my jazdy mamy najmniej, rzekł Washington, wy ją nam stworzycie...

— No! zakończył weselej, bądźmy dobrymi przyjaciółmi, niech was nie zraża, com mówił o niechęci dla cudzoziemców... Bywają różni. Cóż dopiero dowódzca!

Tak mówiąc, wstał wódz i powoli, rozmawiając, poszli ku obozowi, a szałasowi, mało co nad inne pokaźniejszemu, Washingtona.

W taki sposób, po owem szczęśliwem spotkaniu, los Pułaskiego i jego towarzyszów został rozstrzygnięty i łatwiej, i prędzej, niż on sam i Lafayette mógł się spodziewać; listy Franklina wiele też do tego pomogły.

Lafayette, jakeśmy mówili, dotąd także oczekiwał na potwierdzenie nominacji swej przez kongres w Filadelfji.

Ten początek, na pozór pomyślny, gdyż reszta przybyszów z pięknej Ludwiki została odprawiona z niczem, a Girod ledwie wielkiemi narzekaniami wyrobił sobie mały datek na podróż — nie łudził wcale Pułaskiego, który z powierzchownego przypatrzenia się ludziom już mógł przeczuwać co go tu czekało.

Nigdzie o zazdrość nie trudno i na niechętnych nie zbywa. Charakter energiczny, mało się hamowac w wybuchach umiejący Pułaskiego, przywyknienie do wojskowej karności, którą za jeden z głównych powodzenia warunków uważał, wczcśnie musiały mu przysposobić nieprzyjaciół. Dość było wreszcie, że przybysz, człek nowy, otrzymał dowództwo. Opierał się on na życzliwości Washingtona, którą pozyskał odrazu, umiał ją zachować i zbliżeniem się doń zjednać ufność i szacunek.

Washington cenił w nim nietylko męstwo, ale nieubłaganą w służbie surowość i pojęcia karności, które przynosił.

Amerykańscy ochotnicy, dzielni duchem, bitni w ogniu, swobody tej, za którą walczyli, wymagali dla siebie wszędzie, nawet tam, gdzie się jej żądać nie godziło, a dać nie było wolno, w obozie, w pochodzie, w szyku.

Rozprężenie było wielkie i jemu też większą część klęsk poniesionych przypisywać należy. Washington czuł to, ale nie wszystko mógł wykonac, czego pragnął.

Właśnie w chwili, gdy generał Read odmówił przyjęcia dowództwa nad jazdą, która się z dwóch pułków zbieraniny awanturniczej składała, przybywał Pułaski i na objęcie tej brygady został naznaczonym. Rogowski i Karol mieli się przy nim pomieścić.

Pluta już znów szczęśliwy był ze wszystkiego, nie tak chmurną wydawała mu się teraz Ameryka, roił zwycięstwa i wawrzyny. Jasnym, cudnym wydawał się teraz świat nowy, pełnym niespodzianych zjawisk i wdzięku; znajdował go przy dziewiczej dzikości jego majestatycznym i wspaniałym.

Pułaski przy tem sercu młodzieńczem, pełnem poezji i miłości dla wszystkiego, co szlachetne i piękne, rozgrzewał się, lepsze swe przypominając lata... Takim i on wyjechał był z rodzicielskiego domu.

W czasie długiej podróży Karol zbliżył się do niego, stosunek ich był prawie braterski, z odcieniem starszeństwa W sercu Karola poznanie lepsze, poufalsze Pułaskiego zrodziło nietylko miłość, ale uwielbienie, pełne zapału. Przywiązaniem tem był szczęśliwy...

Zapał Karola zwrócił Pułaskiego ku majestatycznym pięknościom natury nowego świata, a choć prozaiczniejszy Rogowski zżymał ramionami na te uniesienia, oni we dwóch w dziewiczych borach Pensylwanji stawali często podziwiać i rozkoszować się omszonemi dęby, cedrami, tulipanowemi drzewy, tysiącem zjawisk niespodziewanych a wdzięcznych... okwitłych i wonnych, lub dziwacznych i dzikich...

Młodzieńcze to serce i wyobraźnia żywa Karola jasnym promieniem ozłacały szare dnie życia. Znosił on wszystko wesoło: niewygody, głód, komary i utrapione muchy, które Amerykanie nazwali Heskiemi, utrzymując, że je z sobą najemne pułki Hessów przywiozły na zjadanie obywateli kolonji...

U brzegów Delewary i Brandywine, gdy w moczarach posłyszeli nocą głuszące żab krzekoty siedzieli razem do dnia, marząc o błotach i stawach, w których pieśni ich wieczornej w kraju się przysłuchiwali.

Karol wszystkie świetne ptaki, wszystkie drobne, latające świecidełka, kwiaty, wonią siejące dokoła... myślą posyłał do Skały, na wianki do kiatek Ewusi.

Myślał często o domu, lękał się o swoich — ale się modlił i spodziewał, że u Boga wyprosi, by się nic nie zmieniło, nic nie ubyło do jego powrotu.

Wyobraźnia coraz wyraziściej teraz malowała mu stary dwór w Skale i wiedział, co się tam o jakiej działo godzinie, żył z niemi sercem i duszą.

— Teraz poszli się modlić, teraz siadają do stołu.. kapelan błogosławi, dziaduś powoli sunie ze swego pokoju, słychać laskę ojca, stukającą o podłogę i szelest sukienki..

Ale z tej umiłowanej Skały od pożegnania z ojcem nie było słuchu, ni wieści... listy naówczas szły, jakby łaską... ciężko i powolnie, a ileż razy ginęły!

Nim jeszcze spodziewane potwierdzenie kongresu nadeszło, przybysze mieli czas rozpatrzeć się w kraju i obozie. Niespodziewany obrót wojny zmusił Washingtona opuścić okolicę pod Wilmingtown i pospieszać przeciwko generałowi Howe, który zdawał się zagrażać Filadelfji, stolicy kongresu.

Dowódzca ten, tak wogóle nieszczęśliwy w swych obrotach strategicznych, tym razem miał jakąś pomyślniejszą natchnienia godzinę. Stał on z siłami swojemi u brzegów Delawary, gdy w końcu lipca, nagle opuściwszy New-York i ujścia rzeki Hudson, gdzie wojska jego były rozłożone, rzucił się w stronę z początku niewiadomą tak, że obrotu jego celu odgadnąć było trudno.

Chwilowe powodzenie wojsk generała Burgoyne zachęciło go do śmielszego próbowania szczęścia. Sądząc się dość silnym, by działać stanowczo, umyślił napaść niespodziewanie na samo ognisko potęgi Amerykanów.

Zabrawszy z sobą kilkadziesiąt bataljonów wojsk europejskich, i nieco ochotnika amerykańskiego, rozłożył je, zostawiwszy około N.-Yorku kilka tysięcy pod generałem Clintow, a drugie tyle w Rhode-Island. Siły te miały utrzymywać na wodzy Amerykanów, resztę zabrał na okręty Howe i odpłynął.

Długo, mimo najtroskliwszych śledzeń, tajemnicą był dla Woshingtona cel tej nagłej wyprawy, a w wojnie tajemnica każda jest niebezpieczeństwem. Zapóźno może doniesiono mu o przeznaczeniu wojsk angielskich; nie tracąc więc chwili, potrzeba było zwijać obóz i posuwać się forsownym marszem w głąb Pensylwanji.

Ochotnicy polscy, chociaż jeszcze urzędownie nie zaciągnięci pod sztandary rzeczypospolitej, zarówno z Lafayettem, towarzyszyli pochodowi. Skosztowali pierwszy raz trudów i niebezpieczeństw przepraw wśród tych puszcz, błot i gąszczy, ciągnąc przez moczary w porze dżdżystej, krajem, który tysiące strumieni i trzęsawisk przerzynają.

Tak wojska przebyły Shuykill, oprócz wielu pomniejszych.

Obóz zmużonych pochodem spiesznym Amerykanów rozsiadł się nad mokremi brzegami Brandywine. Po prawej jego stronie cała sieć strumieni wezbranych deszczami, biegła uchodząc do rzeki; z przeciwnego brzegu nieopodal rozłożyli się byli Anglicy, widocznie zagrażając Filadelfji.

Howe dnia 25 sierpnia wylądowawszy w zatoce Chesapeake, przebrnął tylko rzekę Christiane i stał na Brandywine, obrawszy na ten raz dosyć korzystne stanowisko.

Zaledwie się przeciwko sobie znaleźli, Washington niespierpliwy zażądał bitwy.

Z obu stron się do niej przygotowywano.

Rankiem dnia 11 września huk dział zapowiedział starcie..

Jeszcze raz wielki wódz, a nadewszystko wielki mąż, niezłamany niczem, miał doznać upokorzenia i klęski i ochotnikom polskim dostało się poczynać od niepowodzenia.

Plan Anglików, zasadzający się na fałszywym ataku z jednej, a oskrzydleniu Amerykanów z drugiej strony, powiódł się im zupełnie.

Całe ich siły rozdzielone były na dwa silne oddziały, prawem skrzydłem dowodził generał Knyphausen. Ten miał przejść Brandywinę, ściągnąć na siebie główne siły, gdy lewe skrzydło angielskie Cornwallisa, okrążywszy sieć ową strumieni i bagien nadrzecznych dalszą drogą tył i prawe Amerykanów skrzydło najść i otoczyć miało.

Przebrnięcie strumieni i moczarów nie było trudnem, wojska regularne, posłuszne i karne, powodowały się lepiej niż podwładni Washingtona, którzy jego rozkazów nie spełniali ściśle.

Dzień to był nieszczęśliwy dla wodza, bolesny dla żołnierzy, a dla tych, co po raz pierwszy dobyli oręża nad wszelki wyraz przykrzejszy. Anglicy wykonali, co zamierzali.

W pierwszym napadzie żołnierz republikański przebił się zwycięsko, ale się oparł o żołdactwo jak mur stojące, załamać go a pokonać nie mógł... Stracił potem wiarę w siebie i przytomność...

Przełamawszy na pierwszem uderzeniu Knyphausena, ochotnicy wytrwać nie potrafili, Cornwallis tymczasem groził zajęciem tyłów i opasywać zaczynał z prawej strony.

Gdy Washington, chcąc nie dopuścić przejścia Brandywine Knyphausenowi, skupił przeciwko niemu całe siły swoje, brygady Stephensa, Sterlinga, Sullivana nie zdołały same stawić czoła Cornwallisowi, oddział jego, wyparłszy je, groził opasaniem.

Bitwa, po krótkiej chwili początkowego powodzenia, do którego niezmierny zapał ochotników, Lafayett'a i Pułaskiego się przyczynił — widocznie zagrażała klęską wielką. Musiano plan już niewykonalny zmienić i cofać się ręką obronną, aby uniknąć zabierającego tył Cornwellisa.

Dywizja generała Waine dłużej też przeciw przeważnym siłom Knyphausena wytrwać nie mogła.

Bój ten, w którym nadzwyczajne rozpaczliwego męstwa dowody dawali wszyscy, trwał do nocy od świtu... Ochotnicy z zielonemi gałęźmi na kapeluszach, z okrzykami lecieli na murowane szeregi Anglików, dokazywali cudów chwilowo ale się rozbijali w końcu o te wyćwiczone, chłodne i posłuszne szeregi.

Ani przybycie spóźnione generała Griena, ani męstwo żołnierza, ani zimna krew Washingtona, nie zdołały zapobiec klęsce. Dzień ten w kronice Nowego Świata żałobną pozostał pamiątką.

Pułaski, rozpromieniony, przeżegnawszy się przed bojem, starym obyczajem, w ryngrafie z M. Boską, w konfederatce, rzucił się razem z konnicą na nieprzyjaciela, szczęśliwy, jakby mu wyrosły skrzydła... Karol i Rogowski nie odstępowali go na krok...

Saracenka zbroczyła się krwią angielską, której podobno dotąd w długiem życiu nie kosztowała jeszcze.

Rogowski w spotkaniu z chmurą czerwonych dragonów dostał raz przez głowę szablą, która mu skórę przecięła na czaszce, ale za to, utrzymywał, że zuchwałego dragona trupem położył.

Lafayette, podobny do anioła boja, wybrał się na potyczkę świetnie, strojno, jak na królewskie pokoje, usta mu się uśmiechały...

Wmieszany w szyki razem z żołnierzem, około południa ranny był w nogę, ale chustką ją tylko obwiązawszy, nie dał się odwieść z pola i walczył do nocy.

Trzeba było w końcu ustąpić z placu i nie dając się rozpierzchnąć niedobitkom, uchodzić.

Washington zniósł tę klęskę nową ze stoicózmem filozofa, a raczej z energją człowieka, który ufa w swą siłę.

Nic nie uszło jego oka, ani zachwiało krwią chłodną. Patrzał na harce ochotników z uśmiechem, n acofanie się wojsk z boleścią, ale na marmurowej jego twarzy pod koniec dnia widać było ani zniechęcenia, ani ducha upadku.

— Uczmy się zwyciężać! rzekł wieczorem do Lafayette'a, ale drogo płacimy lekcje nasze.

Pułaski wręcz przypisywał przegraną brakowi karności i wprawy w żołnierzu, który bił się dobrze, ale w obrotach był nieraźny i nie tak posłuszny komendzie, jak należało.

Ze szczerotą żołnierską, powtórzył przy dowódzcach Washingtonowi, iż wojsko potrzebuje surowszego w kluby ujęcia.

To jedno już wyznanie źle dlań uprzedziło ludzi nawykłych do rozprężenia.

Właśnie, gdy wrażenie tych słów było najżywsze, bo je po obozie powtarzano, przyszły oczekiwane potwierdzenia od kongresu i Pułaskiemu oddano nad jazdą dowództwo.

Owa tak szumnie ochrzcona brygada Pułaskiego była zbieraną drużyną awanturników, podzieloną na dwa pułki, liczące razem około czterystu set koni; regiment dragonerji i tak zwanej rajtarji.

Dragonami dowodził pułkownik Molens, człek odważny, ale samowolny, opryskliwy, gwałtowny i nienawidzący cudzoziemców, z czem się głośno przy każdej sposobności odzywał. Pomiędzy oficerami byli Francuzi, Włosi, niemieckie zbiegi z pułków angielskich, ludzie nieokreślonego pochodzenia.

Wszystko to o posłuszeństwie i rygorze słuchać nawet nie chciało. Zdanie Pułaskiego było prawie nie do wykonania, bo wśród wojny i pochodów zaprowadzenie karności między ludźmi, co się za lepszych od niego uważali, rozbijało się o niepokonane trudności. Oficerowie, żołnierze, cała ta czereda, związana wspólnym interesem, stawiła się przeciw niemu mężniej, niż przeciw nieprzyjacielowi. Nawykli do bezkarności, nie znając charakteru Pułaskiego, rachowali niepłonnie, iż go swojem postępowaniem zmuszą do zrzeczenia się dowództwa. Skryty, milczący opór, ciche szyderstwa, przechwałki, znosić musiał co chwila. Pułaski schnął, bladł, usta zacinał, ażeby nie wybuchnąć, w końcu parę razy gwałtownie się uniósł, dając poznać, że sobie przewodzić nie dozwoli, ale niepodobna było codziennie odwoływać się do wodza i na nieposłusznych składać sądy. Musiał znosić. Niezupełna znajomość języka utrudniała położenie.

Po klęsce pod Brandywine wojska Washingtona cofnęły się w kierunku Chester. Filadelfja była stracona. Znów musieli przebywać rzeki, przebrnąć napowrót Shuykill i opierając się nachodzącym Anglikom, przedzierać przez błota, lasy i dzikie pustynie.

Główne siły angielskie gromadziły się około Germanstrown; kongres wcześnie przeniósł się do Lancastre. Opuszczoną stolicę zajął był Cornwallis, który zmuszony został rozdzielić swe siły.

Część wojsk wysłał na zdobywanie małych twierdz, przecinających komunikację między Filadelfją a niższą Delawarą i flotą u ujścia stojącą, która dostarczała zapasów.

Wkrótce po wycofaniu się z nieszczęśliwego spotkania, Pułaski pociągnął razem z Washingtonem na Germanstown. Wódz, rachując na uszczuplone Anglików siły, chciał co rychlej powetować klęskę.

Po ciężkim marszu stanęli dniem jesiennym pod Germanstown.

Ranek był dżdżysty, mgła gęsta później nie dopuszczała się lepiej rozpatrzeć w położeniu Anglików. Wszakże niecierpliwe wojska się starły.

Jak wprzódy, tak i teraz, pierwszy napad powiódł się Amerykanom, generał Conway z prawem skrzydłem, w którem był Pułaski ze swoją brygadą i celnymi strzelcami, porzuciwszy Anglików, wparł się do środka ich obozu, przypierającego do miasteczka.

Pułaski na czele swej jazdy, dając przykład męstwa, przeleciał nawskroś obozowiska angielskie, rąbiąc tak zaciekle, że struga krwi z pałasza jego lała mu się w rękaw munduru. Nic to wszakże nie pomogło, znów pojedyńcze świetne czyny nie rozstrzygnęły walki... nieszczęśliwej, jak pierwsza.

W budynku, nakształt blockhauzu obwarowanym na prędce, pułkownik Musgrave, zasadziwszy się z piechotą, oparł się kilku szturmom dzielnym ogniem. Washington rachował na to, że Cornwallis powstrzyma oddział, na odsiecz wysłany, i nie da mu w czas pospieszyć; stało się inaczej, posiłki przebiwszy się, nadciągnęły i Amerykanów przemagającą siłą wyparto.

Poniósłszy znaczną w ludziach stratę, znów cofać się musiano.

Washington przeszedł rzekę Perkiomi i w porządku zajął stanowisko między wodami Shuykill i Shippah.

Po tych porażkach, które z bliska po sobie nastąpiły, tylko wytrwałość Washingtona i zaufanie w nim kongresu utrzymać zdołało ducha. Zniechęcone żołnierstwo, zniszczeni mieszkańcy szemrać poczynali, domagając się pokoju i zgody. Dezercja w szeregach dotkliwie czuć się dawała.

Wkrótce po bitwie pod Germanstown, generał Burgoyne został osadzony przez wojsko amerykańskie pod Saratogą, zmuszony był kapitulować i poddać się.

Zwycięstwo to płaciło z lichwą dwa niepowodzenia poprzednie. Gates podźwignął Washingtona.

Współcześnie prawie Francja podpisała traktat przymierza z rzecząpospolitą, obiecując czynną pomoc Stanom Zjednoczonym, których sprawa już od tej chwili za wygraną uważać się mogła.

KONIEC
TOMU PIERWSZEGO

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice.
Redaktor odpow. Bonifacy Chmielewski, Chojnice
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice.